

Wojciech Głowala

Nauka, utopia i rzeczywistość : gęba paszkwilanta

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (14), 142-150

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nauka, utopia i rzeczywistość

Gęba paszkwilanta

Mały słownik teologiczny ks. Mariana Kowalewskiego informuje, że nazwą „gorzkie żale” oznacza się „pieśni śpiewane podczas nabożeństw w czasie Wielkiego Postu”. Czyżby więc Janusz Sławiński, autor *Gorzkich żalów* („Teksty” 1973 nr 3), uznał, że znajdujemy się w okresie pokuty i zarazem oczekiwania na radosne wyzwolenie z gnębiącego nas niedoboru samopoczucia (bo i taką perspektywę dają praktyki wielkopostne)? Czy istotnie taka jest polska rzeczywistość w tym miejscu — pokutna, ale i nie grzesząca rozpaczą? Bo przecież cała ta machina, której jeden wygląd opisuje Sławiński, jakoś prosperuje. Wiele w niej gospodarnej krzątający, przemyślanych i sprawnych posunięć, produkuje ona bezustannie doktorów, stażystów, banitów, gwiazdorów, prace, pracownie, pracowników, zebrania, wieczorki, nauczanie, pouczanie itp. itd. Czy tylko dlatego, że się kiedyś tak znakomicie rozpędziła? Sądzimy w związku z tym, że owo samopoczucie nie jest wcale tak kiepskie — nie jest zaś przynajmniej udziałem znakomitej większości tej szczególnej społeczności. Ratuje przed nim praktycznie o wiele bogatszy od tego, jakiemu przygląda się Sławiński, zestaw zajęć, które się w naszej instytucji uprawia. Ratuje zaś — jak się zdaje — wcale skutecznie: owa społeczność zupełnie znośnie sobie żyje. O tym właśnie nieco uwag w tym szkicu.

Zresztą to, co robi Sławiński, jest chyba także dążeniem do poprawy samopoczucia: „zamawia” się tu potwora przez jego racjonalną i elegancką klasyfikację. Być może — i poniższe jest takim zamawianiem, choć w zakończeniu, nie bez lęku, autor zdaje się przeczuwać swą obecność w samym środku zamawianej rzeczywistości-instytucji, i to na tyle wyraźnie, że na wszelki wypadek szybko i „odręcznie” jeszcze raz ją próbuje ujarzmić inaczej — demonizując.

Przedtem jednak zdawało mu się, że jest tak:

W naszej kulturze instytucja nauki jest widoczna jako fakt o mocno obrysowanych granicach, o znamienym składzie wartości oraz działań i wreszcie o specjalnym położeniu na skali, która hierarchizuje poszczególne składniki-instytucje tej kultury.

To położenie widać już w niektórych wzorach osobowych, które wędrują np. przez kulturę masową. Mamy na przykład w popularnych powieściach „młodego obiecującego elektronika”, „porwanego znakomitego wynalazcę” czy „wschodzącą sławę socjologii”. Są to zwykle postaci zajmujące się czymś niesłychanie atrakcyjnym, prowadzące tryb życia godny pożądaniami. Są one — te wzory — zwykle odblaskami legend, które nauka tworzy interesownie o sobie samej i jednocześnie odwzorowaniem pozycji, jaką zajmuje

aktualnie w „konkurencji międzyinstytucjonalnej”. Z tych wzorów i tych legend widziana — nauka jest światem czystego poznania dla dobra ludzkości, poznawania pozbawionego interesowności przyziemnej, a gratyfikowanego czystą satysfakcją badacza i wdzięcznością ludzkości. Interakcja jest tu kierowana logiką i etyką najwyższego rzędu.

Oczywiście rzeczywisty wygląd naszej instytucji jest zupełnie inny. Ta inność jest jednak mocno powiązana z ową skrótowo przedstawioną legendą. Owa legenda jest bowiem jedną z wcale istotnych stawek, dla których dochodzi na terenie nauki do ogromnego bogactwa działań. Sama legenda jednakże — nie zaś jej poszczególne przedmioty. Nie do końca jest wszakże jasne, czy uczestnicy tych działań zawsze nie wierzą w merytoryczną treść tej legendy i czy idzie im tylko o korzystanie z jej błogosławionych skutków społecznych.

Przyjrzyjmy się bliżej jednemu modelowi nauki — modelowi nauk społecznych. Zachowuje się on nieco inaczej niż pozostałe, ale też jaskrawiej uwidacznia problemy, o które idzie. Jest to spowodowane szczególnym powiązaniem z politycznymi implikacjami poglądu (co z kolei wiąże się z kwestiami burzenia czy budowania ideologii, ze sporem o kompetencje weryfikacyjne itp.), rozpowszechnianym i uparcie podtrzymywanym mniemaniem o słabej weryfikalności efektów poznawczych tych nauk, ze swoistym udziałem osobowości badacza w badaniach, ze specjalnie postawioną kwestią autorytetu itd. Ze względu i na te zjawiska nasza instytucja okazuje się tworem nieporównanie bardziej skomplikowanym od własnej o sobie legendy. Także i dlatego, że bierzemy ją tu pod uwagę jako całość, w której instytucjonalizacji ulegają chyba wszystkie formy aktywności jej uczestników. Wcale serio w takich ramach można by się zastanawiać nad faktami tak odległymi od „naukowości”, jak np. upodobania konfekcyjne, kulinarne, erotyczne, rekreacyjne tych uczestników i ich związkiem z tym, co Malinowski nazywa w instytucji „zasadą naczelną”, czyli systemem wartości patronujących jej całej. W tej chwili jednak stwierdzimy tu tylko to, co widoczne jest gołym okiem.

Otóż instytucja nasza jest ogromnym bogactwem akcji, w których działania wyłącznie poznawcze są nie zawsze liczne i niekoniecznie — jak się okaże — niepierwszoplanowe. Ba, być może nawet, że istnienie tego zespołu wartości jako trwałej instytucji mniej zależy od nich niż — nazwijmy je na razie tak — od tych działań niepoznawczych. Komplikacją jest tu znakomite pomieszanie owych działań niepoznawczych z poznawczymi, i to takie, w których te ostatnie mają najczęściej nieujawniony, ale decydujący udział w tych pierwszych. Udział zaakceptowany przecież przez społeczne powodzenie owoców działań (jedyną tu instancją ostateczną?). Trudno podać w tej chwili bardziej wyczerpującą i porządną typologię owych działań niepoznawczych: wymienimy z ich wielości

kilka ważniejszych i nazwiemy je ogólnie gestami. Jest to dla nas takie działanie, które ma na celu uzyskanie uznanych w tym środowisku gratyfikacji, nie ma zaś wprost charakteru działania poznawczo-naukowego, za jakie owe gratyfikacje są zwykle przydzielane. Nie jest to zatem działanie, którego efektem jest nowa — utrwalona w książce czy inaczej — wizja przedmiotów podległych badaniu jakiejś określonej dyscypliny. Czasami mamy do czynienia z zamarkowaniem tylko takiej nowości — i wówczas gest występuje jako czynność poznawcza, choć nią nie jest; z reguły jednak gest mieści się na zupełnie innych poziomach. Jednakże gratyfikacje, jakie środowisko przydziela za gest w funkcji poznawania, równoważą gratyfikacje przyznawane za czynność poznawczą. Pisząc o gratyfikacji, nie myślimy o uznaniu dosłownie ekonomicznym, lecz przede wszystkim — prestiżowym, o podwyższeniu na skali hierarchii osób, wydzieleniu do reprezentowania instytucji na zewnątrz, przydziale kompetencji administracyjnych, o uznaniu wreszcie na wzór osobowy w działaniach poznawczych, czyli o jakimś wejściu do elity i ośrodków sterujących. Możliwości są tu zresztą nie do policzenia!

To zrównoważenie gratyfikacji jest tym dziwniejsze, że gest — w przeciwieństwie do programowo racjonalnych czynności poznawczych — cechuje często jawny lub skrywany irracjonalizm, wyzyskiwanie żywego wciąż myślenia magicznego, wyzyskiwanie każdej możliwej irracjonalności obserwatorów środowiska i także jego uczestników. Dziwne — jeśli zestawimy do wszystkiego z działaniami poznawczymi, ale przecież rozłożenie gestów, ich hierarchia, gratyfikowanie i stosunek do tych działań jest sprawą oficjalnej lub nieoficjalnej polityki środowiska — zatem zabiegów wcale racjonalnych. Ta polityka z kolei zależy od wahania się legendy o nauce, od jej starcia z kontrlegendami instytucji rywalizujących lub sterujących — wszystko to na „rynku kulturowym”. Stąd więc są epoki przewagi któregoś z owych dwóch typów działalności, są też epoki „demaskowania” prawdziwej natury gestów.

Czas dzisiejszy wydaje się czasem wyraźnej nadprodukcji gestów — i z tego też względu sporo pocynań w nauce jest dziś po prostu działaniem taktycznym, mającym na celu uzyskanie gratyfikacji związanej z życiem instytucji i jej legendy. Można rzec — jest to świat skażony taktyką. Pocieszający jest tylko fakt, że taka sytuacja nie może trwać długo, że zniosą ją różnorakie napory i należy oczekiwać z kolei pewnej — znów czasowej — równowagi między obydwoma typami działań. Nie można jednak z całą pewnością sądzić, aby była to zmiana spowodowana aktywnością wyłącznie w imię prawdy i logiki — tylko w niewielkiej części będą w niej mieli udział różni „boży szaleńcy” i „naiwni demaskatorzy”. Z drugiej strony — nie bądźmy do końca prostoduszni — nie można oczekiwać, aby nasza instytucja mogła się „składać” z samych tylko akcji

poznawczych. Niebezpieczna jest tylko sytuacja zaburzenia równowagi.

Cesty, jakie da się przypisać nauce, można podzielić na takie, które funkcjonują także w innych miejscach kultury, i takie, które naznaczone są już mocno piętnem „naukowości”.

Do tych pierwszych należą gesty związane z poziomem życia towarzyskiego uczestników instytucji. Wbrew pozorom — jest to poziom niesłychanej ważności! Już dla pozaśrodkowego myślenia potocznego tzw. życie naukowe polega na feerii interesujących spotkań, zdobywaniu z pierwszej ręki informacji o zajęciach gestycznych, także — oczywiście — o spożywaniu używek odpowiednio wysokiej klasy itp. Faktem jest, że na tym poziomie i ze względu na skład odpowiednich kół tego życia towarzyskiego — zapadają bardzo często istotne decyzje, które będą potem widoczne jako posunięcia oficjalne i naznaczone cechami gestu bardziej skomplikowanego lub działalności poznawczej. Są to jakby kultury oficjalnej polityki. Tu — jak się zdaje — funkcjonuje pewien typ „giełdy hamburskiej”: rozluźnienie oficjalności i rygorów wyższej instancji powoduje inny typ wartościowania, bardziej „szczerego” — ale też uwikłanego przecież w jakąś taktykę. Należy jednak powiedzieć, że bywają wypadki, w których jest to jedyna możliwa „prawdziwa instancja” weryfikująca oficjalny układ hierarchii osób i dzieł. Takich „prawdziwych instancji” jest zwykle wówczas kilka, z odmiennymi interpretacjami oficjalnego kursu, który jest zazwyczaj z różnych względów dość jednolity.

Ta nieoficjalność i rozluźnienie powoduje zapewne popadanie gestów tego poziomu w tryby najzwyczajszej plotki, w której domniemania charakterologiczne łączą się z demaskowaniem gestyczności posunięć poznawczych, opisy zaś różnych tajonych perwersji idą w parze z wytykaniem ułomności logicznych. Nie ma chyba większego „plotkarium” (termin Irzykowskiego) niż zgromadzenia ludzkie wokół osób (lub „podinstytucji”) stojących akurat na szczycie hierarchii. Istnieją nawet pewnego typu „salony naukowe”, zresztą z udziałem niedobitków dawnego salonu ziemiańskiego czy mieszczańskiego.

Gestem jest udział w tym życiu towarzyskim: tu odbywają się inicjacje młodych adeptów, tu rozpoczynają się procesy dziedziczenia we wcale licznych rodach naukowych, to jest miejsce stosunkowo najpełniejszej informacji dotyczącej oficjalnej i nieoficjalnej hierarchii i zmian w niej postępujących. Gest ten jest obwarowany wieloma rygorystycznymi formułami tworzącymi specjalny *savoir vivre* i jego uprawianie jest prawie bezwzględnie wymagane i konieczne, jeśli chce się sprawnie funkcjonować w instytucji.

Gesty z tego poziomu zupełnie otwarcie istnieją i na innych poziomach, które już silnie naznaczone są piętnem czynności poznawczych. Można nawet powiedzieć, że gesty towarzyskie — mimo

oficjalnej opinii — dominują tu, choć pod nazwami czynności poznawczych. Idzie o zjawiska zwane „konferencjami” i „zjazdami naukowymi”. Są to miejsca konfrontacji różnych kręgów życia towarzyskiego, gdzie oceny działań poznawczych służą tworzeniu nowych układów personalnych, przesunięciom ludzi z kręgu do kręgu, uznaniom dominowania pewnych szkół metodologicznych ze względu przede wszystkim na wartości gestyczne poczynąń jej reprezentantów. Świadczy o tym fakt pozornie nieważny, mianowicie zwykle niewielka sprawność organizacyjna prezentacji działań poznawczych na takich imprezach. Z konferencji polonistycznych widać, jak tzw. referaty są przygotowywane w ostatniej chwili, nie są dostarczane przedtem słuchaczom, same programy są w trakcie wcale głęboko modyfikowane — wszystko to tworzy zamieszanie, w którym niemożliwe jest zorganizowanie nowej, najistotniejszej tu, czynności poznawczej, jaką mogłaby być dyskusja wokół referatów. Głosy dyskusyjne służą zaś zwykle prezentacji nowych kreacji osobowościowych, obronie starych konfiguracji personalnych lub tworzeniu *ad hoc* nowych. I znów — poza nurtem oficjalnym — istnieją tu kuluary, w których dokonuje się wartościowań pełniejszych, najczęściej odmiennych od oficjalnych. Ten cały konglomerat zajmuje interakcyjnych przeczy popularnemu przekonaniu, że tego rodzaju bezpośrednio, „żywe” spotkanie ludzi może dać w różnorodnych starciach rzeczywiste efekty poznawcze — zbyt silny jest tu napór gestyczności, która w wielkiej części jest organizatorką tych spotkań. Zresztą bezpośrednio poświadczą to inny fakt: to, co ma reprezentować taką imprezę wobec innych instytucji, wydawnictwo zbierające jej czynności poznawcze, stara się ukryć owe kuluary. Referaty występują tu zwykle w odmienionej postaci albo nie ukazują się wcale — wybór działań (choć podyktowany i sposobem istnienia takiego wydawnictwa) ma na celu „upoznanie” charakteru imprezy i przetłumaczenie gestyczności na poznawczość. Przedmiotem tych manipulacji jest „niewtajemniczona” część środowiska naukowego oraz instytucje objęte wpływami aktualnej legendy o nauce. Ale i tak te działania stają się z kolei przedmiotem działania plotki, dekodującej — z właściwą plotce wulgarnością — z powrotem te wartości do gestycznych, domyślającej się powodów pojawienia się pewnych nazwisk, pominięcia innych itp.

Gestyczność pojawia się w końcu na stałe — bo nie tylko w sporadyczności konferencji — w życiu organizacji naukowych typu uczelni czy instytutu. Działanie typu administracyjnego, którym zajmują się badacze, jest tu ściśle związane z działaniem poznawczym. Zależność jest tu nie tylko taka — co oczywiste — że działania te organizują czynności poznawcze, ale też i taka, że gest administracyjny jest gratyfikowany jako poznawczy i że przez niego zyskuje się miejsce na skali „hierarchii poznawczej”. Dzięki temu z wielkim powodzeniem funkcjonują (tj. posiadają stopnie

naukowe, przechodzą łatwo poszczególne szczeble „kariery”) ludzie, których dorobek czysto poznawczy jest niezwykle skromny i ma zwykle charakter wtórny. Tu mamy do czynienia z działaniami, które właśnie z poziomu potoczności są widoczne jako „bycie profesorem”, „bycie doktorem” czy w ogóle „bycie naukowcem”. Tu także specjalnego charakteru nabiera ów fenomen zwany w ankietach personalnych „pracą społeczną” (tak jakby każda praca nie miała charakteru społecznego). Są to zwykle klasyczne działania na poziomie towarzyskim, których owoce można jednakże znakomicie zbierać w gratyfikacjach przyznawanych za czynności poznawcze.

Do tego poziomu należałoby zaliczyć ów cały „folklor” uniwersytecki i akademicki związany ze strojami, inauguracjami, posiedzeniami, którego ludyczny i gestyczny charakter jest przykrywany chęcią wskazania na związki z pewnymi tradycjami, z którymi współczesna nauka ani w funkcjach, ani w strukturze nie ma wiele wspólnego. Jest to jakby dowód-apologia „z dawności”. Faktem jest, że ogromnej ilości ludzi tego typu działania wypełniają większość ich naukowego istnienia. Podobnego typu poczynaniami jest uczestnictwo w niezliczonych radach, komitetach, komisjach, towarzystwach, gdzie za fakt poznawczy i weryfikujący poziom działania służy zestaw nazwisk uczestników, pochodzący z aktualnej listy hierarchicznej. Tu też policzyć trzeba różnego rodzaju istnienie reprezentacyjne, kiedy pewni ludzie są wysyłani poza obręb nauki w celach reprezentacyjnych czy popularyzatorskich. Tu wreszcie — w szkołach wyższych — mieści się bardzo często dydaktyka, kontakt z uczniami poświęcony obronie aktualnej legendy i budowanie własnej gestyki.

Bardzo skomplikowane pomieszanie gestyczności z poznawczością istnieje na terenie zwanym „szkołą metodologiczną”. Jest tak, że zwykle duża część efektów poznawczych nauki chce być nieredukowalna do którejś ze szkół, udaje ona „naturalność” i „neutralność” czy pozytywną odległość od „koterii” i „nowinek”. Oczywiście, są to także apele do pewnej, tyle że zastanej metodologii (dziś zazwyczaj: pozytywistycznej erudycyjno-genetycznej), a ta „naturalność” oznacza tylko prowokowanie automatyzmów myślowych pewnych odbiorców. Do tego jeszcze wrócimy. Sytuacja jest ciekawsza, kiedy metodologia książki jest eksponowana jako programowo nowa. Otóż zasady organizowania się nowej metodologii nie są oparte wyłącznie na podstawach poznawczych. Dzieje się tak z kilku względów: przede wszystkim nośnikami nowości są nie tylko odpowiednie testy naukowe i rozchodzą się one nie tylko poprzez ich pozytywną weryfikację logiczną. Szkoły metodologiczne gromadzą się zwykle albo przy osobach stojących odpowiednio wysoko w aktualnej hierarchii, albo też przy osobach o silnych i bogatych walorach gestycznych (co zresztą idzie w parze). To jest pierwszy взгляд. Dalej: działają tu z całą wyrazistością wszelkie prawa zwią-

zane ze zjawiskami mody i snobizmu. Istnieją na przykład mody i snobizmy związane z metodologiami zagranicznymi (tylko sporadycznie da się tu zauważyć stosunek pogardy czy wyższości). Jest zazwyczaj tak, że wybucha histeria cytatologiczna, podczas której każdy szanujący się badacz musi odwołać się do uznanego właśnie tekstu (często wyrodnieje to w zjawisko podobne do tego, które opisywał Lotman, a które polega na sakralizacji tekstu niezrozumiałego). Jest to czynność najzwyczajniej magiczna. Wedle indeksu nazwisk można w ten sposób ustalić z dużą dokładnością datę powstania książki i jej przynależność środowiskową. Sprawa ulega dalszej komplikacji, skoro taki służący celom magicznym tekst zostanie przełożony: zwykle zaczyna być o nim cicho w kołach najwyższych hierarchicznie („tego nie wypada cytować” — słyszałem to na własne uszy!), dopadają go zaś „doły” i zaraz potem krytyka literacka. Wygląda na to, że działalność przekładowa jest jakby przeciwstawieniem się owym pędom metodologicznym!

Istnieje jeszcze godny uwagi — choć chyba coraz rzadszy — fenomen „samotności metodologicznej”, pod którym można się często dopatrywać także gestyczności, o proveniencji mianowicie secesyjnej wobec tamtych, mających właśnie charakter stadny, zjawisk (choć może to być i wyraz zwykłej „niewinności” społecznej czy umysłowej). Ale jest to w końcu wypadek — powiedzieliśmy — coraz rzadszy, jako że już nie da się uprawiać nauki prywatnie, poza instytucją (nawet gdyby się mogło utrzymywać z jakiegoś nieabsorbującego czasowo zajęcia) — a zatem i poza życiem towarzyskim, poza gestyką.

Fakt istnienia książek, które dają naturalność metodologiczną, każe podejrzewać, że istnieją książki-gesty o zredukowanych zupełnie walorach poznawczych. Tak rzeczywiście jest: produkuje się tu książki po to, by utrzymać swoją działalność i swoje istnienie w obrębie instytucji. Zwróćmy tu przede wszystkim uwagę na fakt, jak ogromną ilość naukowej produkcji książkowej stanowią pozycje wymuszone przez konieczność zrobienia doktoratu i innych stopni naukowych. Faktem sprawczym jest tu jakiś przepis administracyjny, nie zaś sytuacja poznawcza wymagająca rozwikłania lub przynajmniej twórcze współistnienie tych dwu czynników. Na taki gestyczny charakter także wskazuje to, że temat np. pracy doktorskiej zwykle się otrzymuje od promotora, a zatem jest to wynikiem jakiejś decyzji, w której genezie sam doktorant nie ma do powiedzenia najwięcej. Należy to bowiem do gestyki promotora. Skoro istnieją stopnie naukowe, to nauka może produkować takie niby poznawcze książki bez końca. A skoro istnieje instytucja zwana nauką, to musi ona bezustannie potwierdzać swoje istnienie choćby taką produkcją. A czyż w końcu wszyscy nie wiedzą, że pewne rzeczy drukuje się właśnie dlatego, że komuś np. „brakuje” do habilitacji akurat jednej pozycji! Gest usprawiedliwia tu gest, „drukowalność” zaś zależy już w końcu od miejsca w hierarchii,

ta zaś — jak wiemy — wcale nie musi być skutkiem wysokiej oceny czynności poznawczych.

Nacisk „zamówienia” widać także w mnożących się pracach zbiorowych, które po wierzchu mogą wyglądać na rezultat solidnych wysiłków kolektywnych. Ale przecież i tu bardzo często zaczyna się od istnienia — po prostu — redaktora i przydziału papieru. Wybór do takiej zbiorówki jest jednocześnie ważnym w środowisku gestem — tak dla wybierającego, jak i dla wybranych. Jednorodność, jeśli w ogóle się pojawia, jest zazwyczaj jednorodnością typu towarzyskiego — gestycznego. Zresztą fakt, że prace ze zbiorówek pojawiają się potem znów w takiej samej postaci gdzie indziej, świadczy też o mniejszej wadze ich walorów poznawczych (niektórym można by udowodnić po 2—3 przedruki). Chyba prawda nie jest lepsza, jeśli powtórzy się ją trzy razy?

Na trochę podobnej zasadzie istnieją czasopisma naukowe, w których dodatkowo rygory konieczności terminowych jeszcze silniej deformująco działają na prezentowane prawdy. W wyborze rzeczy do druku działają tu wszystkie opisane tendencje. Czasopisma są jednak bardziej niż inne działania obciążone zabiegami gestycznymi przede wszystkim ze względu na większe możliwości selekcji, zderzenie się różnorodnych interesów osób z zespołu redakcyjnego, istnienie działów recenzji z natury zajmujących się weryfikacją. Czasopisma pełnią właśnie funkcje szczególnie względem instytucji „ochronne”: tu właśnie pojawiają się przyzwolenia i potępienia o walorze oficjalnym (w imię Nauki), tu następuje doraźna przemiana wartości gestycznych w poznawcze.

Najwspanialszym osiągnięciem geniuszu gestyczności jest jednak stworzenie nowej dyscypliny czy metodologii, która po prostu nie ma własnego przedmiotu badań lub którego nie da się precyzyjnie określić. Ale jakże znakomicie są obudowane instytucjonalnie takie nowe dyscypliny, jakże precyzyjnie potrafią działać na terenie interakcji towarzysko-zebraniowo-zjazdowej, jakże pięknie potrafią zorganizować to wszystko, co jest w nauce gestyczną działalnością!

* * *

Opis nasz — jeśli spróbujemy teraz konkluzji — nie jest wbrew pozorom widokiem przerażającym. Odstaje on przede wszystkim od legendy, jaka funkcjonuje o tego typu nauce w naszej kulturze. Opisywane środowisko zachowuje się jak każde normalne środowisko ludzkie — ze szczególnym może podobieństwem do instytucji artystycznych.

Trzeba się też zastrzec, że nie szło tu o banalną redukcję do twierdzeń, że naukowcy to też ludzie, że zdarzają się im brzydkie rzeczy, że bywają „materialistami”. Stawki są tu przecież o wiele

mniej „materialne” — a przede wszystkim największą, jakiej się tu pragnie (i do tego zresztą używa się pieniędzy!), jest społeczna akceptacja i udział w grupie oraz możliwość rozkoszy, jaką można mieć z manipulowania świadomościami bliźnich. Wybór takiej właśnie instytucji do tych celów jest zwykle dość przypadkowy z punktu widzenia jednostkowych losów (jak zazwyczaj przypadkowa jest w większości rekrutacja na naukowców). Można się domyślać tylko, że w wielu wypadkach decyzja wejścia w naszą instytucję była spowodowana wspomnianą legendą. Jak szybko jednak następuje tu „demoralizacja”, jak szybko jest się „wrobionym” i zmuszonym do jej obrony?

Ale można się jeszcze raz przerazić: gdzież jest ta prawda, gdzie efekty poznawczej pracy instytucji wyznaczonej do poznawania? Czy — tak po heglowsku mówiąc — instytucja jest chytrzejsza od swoich użytkowników i to, co jest „rzeczywistą wartością”, odkłada w kulturze w jakieś naturalne miejsce, nieskażone i prawdziwe? A jeśli tak, to do czego, o Instytucjo, używasz w tej chwili mnie, który przygotowuję sobie gębę paszkwilanta?

Wojciech Głowala

Strategia, taktyka — i etyka

Niepokoje, o których pisał Sławiński i Głowala, nie są niepokojami pozornymi. Ich wystąpienia są interesujące z dwóch powodów. Jako sygnały wskazujące na sytuację naszej humanistyki, która budzi melancholijną refleksję (chodzi tu zwłaszcza o tekst Głowali), i jako dokumenty (może nawet mimowolne, niezależne od zamierzeń autorów) świadomości tej części środowiska naukowego, które z ostrym krytycyzmem przeprowadza autoobserwację i gotowe jest pogrążyć się w „gorzkich żalach”, lub przyjąć „gębę paszkwilanta”.

W nie określonej bliżej, przedstawionej w tych wystąpieniach przestrzeni, gdzie rządzą reguły strategii i taktyki, wszystko jest ruchome, niepewne, relatywne. Układa się w nieskończone stosunki względności. Brakuje tam nadrzędnego układu odniesienia, osi współrzędnych, względem których można by sytuować zjawiska, charakteryzować orientacje, wyznaczać kierunki refleksji.

* * *

Strategia, taktyka — i etyka. W tej formule tytułowej zawiera się opozycja między tym, co pozorne, zmienne, koniunkturalne, a tym, co mogłoby stanowić podstawę koniecznej